WIDNOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"
Nr 39 (105)
Rok III
29 IX 1963 r.

TADEUSZ PIEKŁO

w oku psa

tu po ścieżkach woni w wyobraźni
panny płyną motyle ważki wodne
powściągliwe między łapami
są owale sparzeń nadobne

tu jest dobre węchu wyostrzenie
za jaszczurką ukrytą w gontach sową
z słonecznika słońca ściekanie
kroplą rosy chłodnoróżową

a nad nami roślinami zwierzętami
mrok i światło mróz i słońce są bezpańskie
i są w nas jak kłębki tlenu i azotu

zapach deszczu rozkwit chmury kurzu namiot
przypływ dźwięków miód upału sen u płotu
lotnoskrzydłe galaktyki świętojańskie

EDWARD WISZ

Bez serca

Z uwagi na nie zakończone jeszcze śledztwo nie podaję pełnego brzmienia nazwisk oskarżonych, jak też i miejscowości, w której wydarzyła się ta ponura tragedia zakończona bestialskim zamordowaniem sześćdziesięciokilkuletniego mężczyzny. Przekazuję ją czytelnikom chociażby dlatego, ponieważ w wielu wypadkach atmosfera w jakiej wydarzyła się, jest jeszcze, niestety, typowa dla określonych stosunków panujących na wsi, chociaż nie zawsze ma aż takie zakończenie.

PIERWSZE KONFLIKTY

Rzecz działa się w jednym z północno-wschodnich powiatów naszego województwa. W wiosce S. żył niejaki Władysław B., człowiek po sześćdziesiątce, którym opiekowała się 19-letnia córka, Aniela. Pozostali synowie i córki porozjeżdżali się po całej Polsce i raczej rzadko zaglądali do ojca. Zresztą nie bez przyczyny. We wsi uważano, że starego nienawidzą, ponieważ kategorycznie od lat odmawiał podziału majątku, wiedząc, że żadne z nich tu nie powróci, że chodzi im tylko o sprzedanie swoich części w zamian za co kupiliby sobie motocykle, telewizory, aby dorównać w mieście innym. W listach, które od czasu do czasu od nich otrzymywał często o tym wspominali, co wprawiało Władysława B. w jeszcze większą złość, był bowiem do swojej ziemi niezmiernie przywiązany. Synowie przesyłając nawet świąteczne życzenia nie omieszkali mu przypomnieć: „Dopóki nie podzielisz pola, nie przyjedziemy". Próbowali nawet grozić: „Zeżryj sobie tę ziemię. Pamiętaj jednak, że jeżeli nic nie dostaniemy — będzie z tobą źle. Nie będziemy nawet uważać, żeś nasz tata...".

W takiej sytuacji doszło do zawarcia związku małżeńskiego przez najmłodszą i będącą przy ojcu Anielę z Franciszkiem S., mieszkańcem sąsiedniej wsi. Młody żonkoś dopiero co wrócił z wojska i „sztyftowany" odpowiednio przez swoich rodziców łakomych na hektary starego, chcąc nie chcąc stanął na ślubnym kobiercu. Złośliwi powiadali jednak, że Franciszek S. nigdy by się nie ożenił, gdyby nie to, że Aniela spodziewała się dziecka. Najwięcej do powiedzenia miał tu ksiądz proboszcz, który w wypadku zerwania małżeństwa groził skandalem.

Młodzi po ślubie zamieszkali przy starym ojcu. Mimo tego Franciszek S. gospodarką się nie zajmował, a sprawę posagu odłożył na później. Znalazł bowiem dobrze płatną pracę przy budowie zakładów przemysłowych. Żona też nie miała wiele czasu zajęta wychowywaniem dwojga drobnych dzieci. Stąd też cały ciężar uprawy roli i kierowania bądź co bądź wciąż podupadającym gospodarstwem ponownie spadł na Władysława B., który na pomoc młodych od początku liczył.

Później w rodzinie B. doszło do konfliktu, którego tłem był majątek. Częste kłótnie i awantury kończyły się pobiciem starego, w czym Aniela, córka Władysława B. aktywnie pomagała mężowi. Sąsiedzi, aczkolwiek mieszkający dosłownie o miedzę od ich zabudowań, raczej się nie wtrącali. Bo to na wsi pierwszy raz dochodzi na tym tle do podobnych spięć? Starość — nie radość. Wiadomo powszechnie, że jeszcze dość często tu i ówdzie apetyty majątkowe biorą górę nad uczuciami. Że starych rodziców traktuje się jak zbędną rzecz i czeka na ich rychłą śmierć.

Franciszek S. na swój sposób interesował się gospodarstwem ponoć skąpego teścia. Dążył bowiem do tego, żeby mu zapisał część majątku. Kawał pola, zabudowania i krowę. Nie ma się co dziwić. Czyż mało jeszcze mamy takich przykładów, że małżeństwo jest tylko kontraktem? Że najpierw mówi się o morgach, posagu, a dopiero później o małżeństwie? Zdarzają się jeszcze takie rzeczy, zdarzają... Władysław B. sprzeciwiał się jednak zachłannym apetytom zięcia i nie bez powodów. Był bowiem święcie przekonany, że gdyby podzielił ziemię, to porywczy Franciszek S. pozbawi go pola, wyrzuci z mieszkania. Dlatego starzy ludzie zapisując dzieciom ziemię, niejednokrotnie wymawiają sobie tzw. dożywocie. Spadkobiercy mają ich po prostu utrzymywać do śmierci. W przeciwnym wypadku kontrakt jest nieważny. Jest to smutna i konieczna obrona przed głodową śmiercią i żebractwem.

Franciszek S. zdając sobie doskonale sprawę, że ani groźbami, ani też biciem nic nie wskóra, jął się intryg. Intryg podłych, wyrafinowanych.

ON CHCE MNIE ZAMORDOWAĆ...

Początkowo próbuje wpłynąć na teścia przez żonę. Stary nie poddaje się. Chyba zdążył rozszyfrować jego plany. Nie był taki głupi i wiedział, co w trawie piszczy. Wówczas Franciszek S. posługuje się szwagrami, znajdującymi się w zachodniej części Polski. Aniela S. przyłącza się do kampanii przeciwko ojcu. Pisze do braci rozpaczliwe listy, w których kłamliwie przedstawiając swoje warunki życiowe, nawołuje do podziału majątku ojca. Tamtym tylko w to graj. Ich rozumowanie jest nadzwyczaj proste: „Jeżeli ojciec zmieknie i da ziemię córce, to musi również nam coś kapnąć...".

(Ciąg dalszy na str. 4)

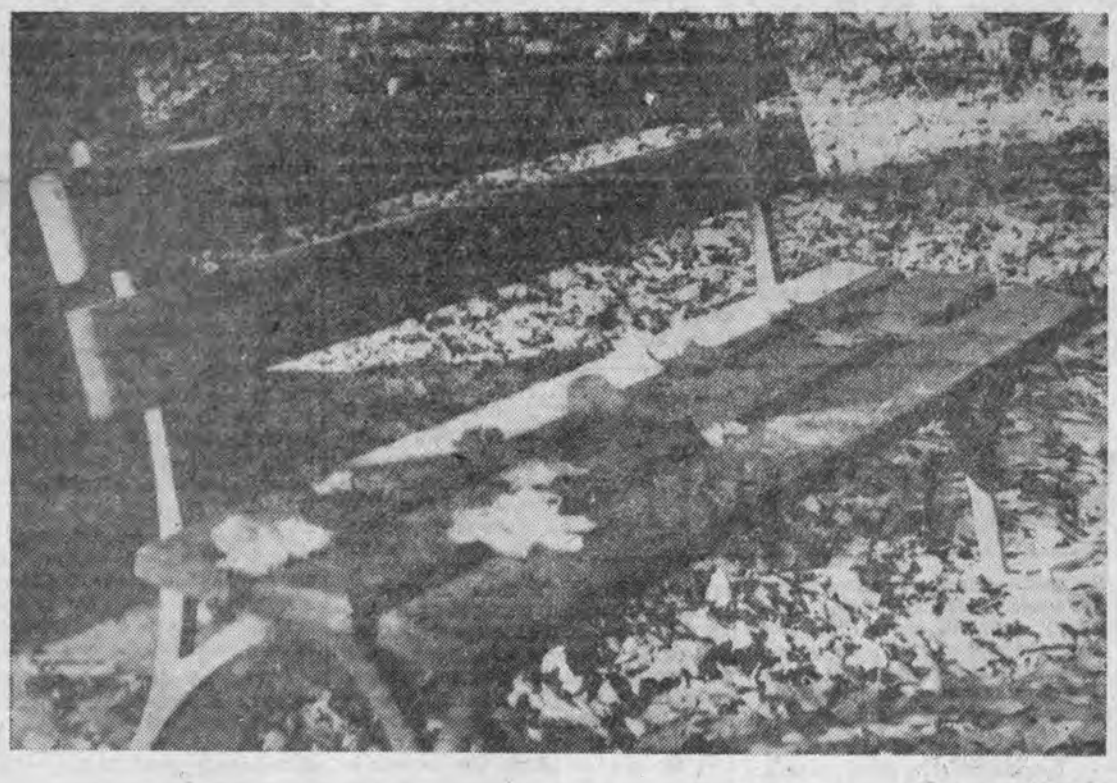

Fot. K. BANACH

RENATA NIEMIRSKA - PISAREK

Z rzeszowskich wystaw plastyki

Sztuki plastyczne zdobyły prawo obywatelstwa w naszym mieście. Stało się to w niemałym stopniu dzięki żywej i prężnej działalności rzeszowskiego Biura Wystaw Artystycznych. Weszło już w zwyczaj, że wystawy plastyczne odbywają się permanentnie. Ba, niejednokrotnie otwiera się kilka takich ekspozycji równocześnie, o ile pozwalają na to dość ograniczone warunki lokalowe. Chciałabym tu wspomnieć, że szczupłe pomieszczenia należące do ZPAP i BWA zostały z niezwykłym kunsztem i jak najdalej idącą pomysłowością przystosowane, oczywiście w granicach możliwości, do potrzeb wystawiennictwa.

W bieżącym tygodniu otwarto właśnie Salon Jesienny rzeszowskiego oddziału ZPAP.

Nie wątpię, że wystawione prace dostarczą tematu do dyskusji i wypowiedzi. Ale w chwili obecnej chciałabym cofnąć się do poprzedniej ekspozycji. Była nią wystawa rysunków portretowych Cezarego Kotowicza. Artysta ten znany jest dobrze w Rzeszowie zarówno z działalności w dziedzinie upowszechnienia kultury plastycznej, jak również, a może przede wszystkim, ze swej twórczości artystycznej.

Osiągnięcia Cezarego Kotowicza nie są wynikiem przypadkowych wybuchów „natchnienia". Pracuje on mozolnie i wytrwale, z konsekwencją i pełną świadomością. Twórczość jego, poparta głęboką wiedzą i dużą kulturą jest afirmacją wewnętrznych przeżyć artysty.

W ubiegłym roku oglądaliśmy jego indywidualną wystawę malarstwa i rysunku o charakterze retrospektywnym. Obecnie pokazał Cezary Kotowicz swe prace wyłącznie z dziedziny rysunku portretowego. Zamieszczona w katalogu w charakterze motta wypowiedź I. A. D. Ingresa: „Rysunek — jest to uczciwość sztuki" — wydaje się w jakiś sposób manifestować przywiązanie artysty do tej dyscypliny sztuki.

Cezary Kotowicz traktuje rysunek jako pełną możliwość wypowiedzi artystycznej. Poprzez szereg żmudnych, pracochłonnych studiów dochodzi do ścisłego zespolenia zamierzeń artystycznych z właściwościami danej techniki. Te studia właśnie, drobiazgowe, przytłoczone nieco przez dominantę szczegółu, są pełne prawdy konkretnej, uczciwej dokumentacji zjawiska, pozwalają równocześnie artyście doprowadzić swój warsztat do ogromnej precyzji. Myślę, że właśnie dzięki tej pasji studiowania, dzięki rzetelnej pracy umie artysta przejść do ujęć bardziej skrótowych, do tworzenia form bardziej syntetycznych, gdzie szczegóły zostają celowo pominięte na rzecz całościowego ujęcia.

Niektóre z portretów kobiecych są pełne wdzięku i finezji, jakiejś subtelnej lekkości, gdzie delikatne draśnięcia wyrafinowanej kreski o różnej grubości, poprzez płaszczyzny czarno-białych plam tworzą liryczny i ciepły obraz istotnej kobiecości.

Na szczególną uwagę zasługuje „Portret artysty malarza J. M.". Jest to syntetyczny, świetny rysunek, gdzie każda kreska posiada nieodwołalną celowość. Odznacza się on równocześnie jakąś odkrywczą spontanicznością w niezwykle celnej charakterystyce modelu, wydobywając w sposób wnikliwy i wrażliwy obraz jego osobowości.

Cezary Kotowicz jest artystą szukającym wciąż nowych rozwiązań, odznacza się on szczególną konsekwencją w swoich dążeniach twórczych.

Oprócz wystaw objętych planem działalności BWA odbywają się w Rzeszowie pokazy prac amatorów-plastyków, którym patronuje Wojewódzki Dom Kultury. Doroczne wojewódzkie wystawy tego typu skupiają prace pokaźnej grupy malarzy „niezrzeszonych", dla których sztuka nie jest sprawą zawodu ani chyba ambicji, jest jednak być może pasją ich życia, może ucieczką od codzienności, a może przyjemnością, wypoczynkiem czy wytchnieniem. Wypowiadają się w granicach swych możliwości, jednak na ogół szczerze. Obecna wystawa jest owocem dziewięciodniowego pobytu w plenerze 19-osobowej grupy, której kierownictwo objęła art. mal. Krystyna Suss.

Liczba wystawionych prac świadczy o maksymalnie wykorzystanym czasie. Rozpiętość poziomu dość znaczna. Dużo jednak prac nie pozbawionych wartości artystycznych. Uderza indywidualność poszczególnych autorów, jakaś szczególna wierność własnemu widzeniu. Spośród wystawionych prac na największą uwagę zasługują pejzaże Antoniny Jakubiczkowej. Wrażliwość kolorystyczna pozwala autorce operować z dużą kulturą bogatą gamą barwną. Istotną cechą jej twórczości jest emocjonalne odczucie rzeczywistości, jakaś uczuciowa więź łącząca ją zawsze z malowanym obiektem, uzewnętrzniająca się w atmosferze ciepła i intymności obrazu. Z dużą szczerością potrafi oddać zmienność nastrojów przyrody, potrafi tłumaczyć na język malarski sumę własnych przeżyć i doznań.

W Klubie Książki i Wiedzy znajduje się wystawka prac Jerzego Biernata i Adama Mroza. Trudno dziś w jakikolwiek sposób mówić o obliczu twórczym tych autorów, są to bowiem ludzie bardzo młodzi, studiujący właściwie dopiero sztuki piękne. Poziom wystawionych prac jest dość niejednolity. Są prace jeszcze bardzo surowe, prawdopodobnie wcześniejsze i te bardziej współczesne, gdzie wyraźnie daje się zauważyć narastanie wartości artystycznych. Świadczy to o sukcesywnym wzbogacaniu doświadczeń i umiejętności młodych autorów, o rozwoju ich wrażliwości i kultury plastycznej.

Nie wątpię, że przyszłość dostarczy wielu sposobności, by mogli zaprezentować pełniejszy i wartościowszy dorobek.

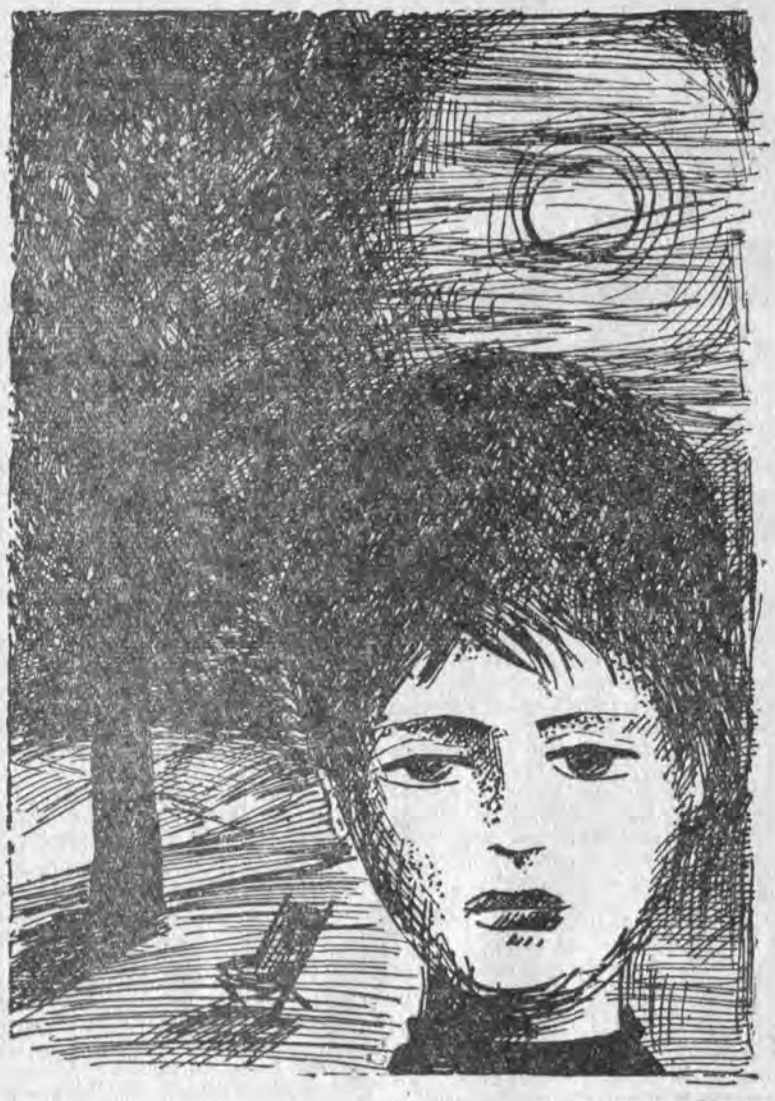

rys. J. SIENKIEWICZ

HELENA WIŚNIEWSKA (II)

Gdzieś na krańcach...

— Jesteśmy na miejscu... Wysiadać proszę! Grupa kuracjuszy wysypuje się z autokaru. Rozgląda ciekawie. Horyniec robi wrażenie... nowy, jasny, słoneczny. Przypomina letniskowe ośrodki południa. Lekkie jak pudełka pensjonaty. Fontanny, alejki, baseny i pływalnie. Nowoczesne kawiarnie, przestronne place z kolorowymi ławeczkami. Dużo zieleni, kwiatów. Dom Kultury, w którym sąsiadują: teatr, sala koncertowa, klub kuracjusza. Nie opodal leczniczy kombinat: zakład kąpielowy, gabinety, laboratoria. Wszystko gotowe na przyjęcie trzech tysięcy uczestników sanatoryjnego turnusu. Wszystko na najwyższy biały połysk.

...Wizja przyszłego Horyńca to fascynujący obrazek. Tyle tylko, że w papierkowym wydaniu. Czy wzbogaci kiedyś rzeczywistą historię Zdroju? Czy też dzieje Horyńca zostały już ostatecznie napisane. Przypomnieć?

1.

Dobiegało końca dziewiętnaste stulecie, gdy Horyniec ujawnił swoje skarby. Samoczynne źródełko okazało się nie lada krynicą... a przednią siarczkową wodą. Cennym darem natury dla ludzi cierpiących. Na „dokładkę" superborowina. Dziedzice hoynieckich dóbr w mig zwęszyli interes. Kariera Horyńca była przypieczętowana. Awansował z roku na rok. Nawet po spustoszeniach I wojny światowej. Dopiero wojenna zawierucha lat 1939—45 wybija na Horyńcu niszczycielskie piętno. Zbyt wiele było wojennych ran, by rozczulać się nad horynieckimi. Zielsko porastało ruiny. Zielonym parawanem okrywało ponure ślady.

Ale Horyniec żył. Tkwił w ludzkiej pamięci. I choć jeżył się wyszczerbionymi murami... ściągali doń kuracjusze. W najlepszym wypadku oferował im izbę u chłopa, w najgorszym — siano w stodole. Nie grymasili. Twarde czasy. Zjeżdżali dla kuracji. Cóż to było za leczenie? Drewniana wanna z borowinowym błotkiem. Dziadzio — wąsal w roli stróża i jedynego znawcy balneologii. Przerażający prymityw. Dziadzio nie żałował kąpieli. Łokciem mierzył temperaturę. Za „piątkę" można było do woli posiedzieć w wannie. Pochorować się na serce.. aż do zawału włącznie. Taki to był zdrój. Bez zakładu leczniczego, bez lekarza... Z gronem wiernych kuracjuszy.

Trzeba było wyjść im naprzeciw. Zrobił to lubaczowski PZGS, przy finansowym wsparciu wszystkich spółdzielczych placówek. CRS użyczyła swego szyldu. 5 mln złotych zamieniło się wkrótce w zgrabny zdrojowy pawilon. Kilkanaście kabin do kąpieli. Nowoczesne urządzenia. 300 zabiegów dziennie... przeciw schorzeniom gośćcowym, zaburzeniom układu nerwowego, chorobom skóry, dróg oddechowych, uzębienia. Skromna cząstka horynieckich bogactw idzie na zdrowie.

2.

Właśnie skończyły się zabiegi. Ostatni kuracjusze opuszczają zakład. Za jego progiem każdy z nich przestaje być członkiem sanatoryjnej społeczności. Nie podlega żadnej dyscyplinie. Nie obowiązuje go ani poobiednia drzemka, ani wieczorna cisza. Nieskrępowana wolność jest „ekwiwalentem" za brak należnej mu pomocy. Nie może na nią liczyć nawet wtedy, gdy „wysiądzie" sforsowane kuracjuszerduszko. Może najwyżej odpocząć na zakładowym tarasie.

Wokół zdrojowy park. Rozległy na wpół dziki. Nic poza krzyną mizernego kwiecia. Żwirowe alejki, klomby, ławeczki — to kwestia wyobraźni. Jeśli bujna — wyczaruje. Jeśli skromniutka — nie dojrzy nic poza kilkoma ha przywiędłej trawy. Przygana nie na miejscu obcy przybyszu. Trawa tu w wielkim poszanowaniu. Pusty skarbiec Uzdrowiska łaknie zasiłku. Ratuje się wymianą na grosz parkowego siana.

Rząd starych pni pozwala się domyślić, że biegła tędy kiedyś cienista alejka. Ludzka bezmyślność skróciła żywot dorodnych drzew. Ktoś nie mógł pogodzić ich soczystej zieleni z elektryczną linią. Przedwcześnie wyłysiał horyniecki park. Rekompensatą częściowo uzbrojony teren. Jeży się gdzieś pod ziemią stalą, żelbetonem. Gotów na przyjęcie budowlanych konstrukcji. Przewidziane, zaplanowane, a jakże! Ujęte nawet w ramy technicznej dokumentacji. Można przestudiować na pocieszenie. Niewiele tego. Ot, niezbędne minimum. Sanatoryjny budynek na 200 łóżek, kuchnia, stołówka, świetlica, lekarski gabinet. Nieodłączne elementy zamkniętego leczniczego zakładu. Dopiero w tym zestawie Horyniec awansować może do rangi zdroju. Tymczasem jest jego namiastką. Udręką kuracjuszy skazanych na geesowski „wikt i opierunek". A Horyniec to nie krynicka parada. Przyjeżdżają doń ludzie naprawdę chorzy. Czekają, kiedy rzeszowski kurort wyciągnie szczęśliwy los.

3.

Horyniec opatrzono spółdzielczym szyldem. Cóż z tego? CRS dawno przestała go polubić. PP „Uzdrowiska" jeszcze nie zaczęły. Miały chęć. W poprzek stanął dylemat — adaptować Horyniec czy też rzucić milionik... (np.) na kosmetykę urodziwej Krynicy. Horyniec to lecznicze zasoby. Krynica znów „leży na trasie". Niełatwy wybór.

I dusi się miniaturowy zdrój. Cierpi za to, że natura „rzuciła" go na dalekie krańce. Ciasno, niewygodnie, ubogo. Brak laboratorium, mieszkań dla białego personelu. Gdzie szukać wsparcia?

Obok zdrojowego zakładu drewniany budyneczek. Mizerna resztka dawnego ośrodka. Można z niej jednak coś wykorzystać. Odnowić systemem gospodarczym, kilka pomieszczeń jak znalazł. Zdrój już rozdysponował: na dole zakład fizykoterapii, na górze mieszkania... Cóż z tego? Domkiem zawładnęła samotna emerytka. Zajmuje jego część, uparcie broni całości. Próby przekwaterowania „babci" — zawiodły. No więc skapitulowano. Mimo nakazu eksmisji Prez. PRN, mimo poparcia go sądowym wyrokiem. „Babcia" tylko pokpiwa z urzędowych dokumentów. Papierkowa broń niegroźna.

4.

Na obszarze 60 ha rozciągają się horynieckie torfowiska. 60 ha przedniej borowiny. Prawdziwy kuracyjny majątek. Brać, wybierać, leczyć. Zdrój wybrał tylko hektar. Dokumentację wydobycia opracowało Biuro Projektów Wodno-Melioracyjnych w Warszawie. Obruszyli się lubaczowscy spece. Co? Lokalną władzę ignorować? Popamiętacie ten warszawski wyskok. Nie będzie borowiny... Dwuletnia wojna zakończyła się oficjalnym zakazem eksploatacji torfowego złoża.

„Zakazana" borowina płynie jednak do zakładu. Cóż, Zdrój nie może prosperować bez podstawowego surowca. I po licho ta cała batalia?

W „zakazanym" borowinowym błotku kąpią się z lubością przedstawiciele powiatowych władz. Ponoć wychodzi im na zdrowie. Taka to już ta horyniecka borowina. Nie trzeba jej nikomu żałować.

CZESŁAW KŁAK

SALOMON - KSIĄŻĘ POKOJU...

„To, co dotyczy wszystkich ludzi, może być rozwiązane tylko przez wszystkich ludzi".

SPOŚRÓD WSPÓŁCZESNYCH dramaturgów zachodnioeuropejskich Friedrich Dürrenmatt należy ostatnio do najczęściej prezentowanych na scenach polskich. „Romulus Wielki", „Wizyta Starszej Pani", „Frank V", „Nocna rozmowa z człowiekiem, którym się gardzi" i wreszcie „Fizycy" — to sztuki, które zapewniły szwajcarskiemu pisarzowi popularność. Mimo to stanowisko krytyki literackiej i teatralnej jest wieloznaczne. Zastanawia amplituda wahań. Bezkrytyczne zachwyty mieszają się z niewybrednymi napaściami. Przygodny czytelnik tygodników kulturalnych staje przed dylematem: aprobować czy odrzucić sugestie „znawców przedmiotu", zaufać Dürrenmattowi i jego zwolennikom czy raczej, przychylić się do zdania nieprzejednanych sędziów, pomawiających dramaturga o wtórność, indolencję twórczą, a nawet o plagiowanie Brechta. Kontrowersyjność ferowanych opinii zdaje się potwierdzać fakt, że wielopłaszczyznowe pisarstwo Dürrenmatta dopuszcza możliwość względnie swobodnej interpretacji ideowych i estetycznych założeń twórcy. Brzmi to paradoksalnie, ale w utworach autora „Fizyków" paradoksy odgrywają pierwszorzędną rolę. Ostatecznie Dürrenmatt pragnie tylko zainteresować widza rzeczywistością. Wychodzi więc od fabuły, najczęściej sensacyjnej, jego bohaterowie działają, w działaniu ocierają się o różne problemy moralne i filozoficzne, jako ludzie myślący zajmują określone stanowiska, zdeterminowane aktualną sytuacją, podejmują często nieodwracalne decyzje, przegrywają lub wygrywają, jednym słowem przeżywają własny dramat i tylko przypominają publiczności, że to co się dzieje na scenie może zdarzyć się w życiu, może zaistnieć naprawdę, wobec czego byłoby rzeczą pożądaną sprecyzowanie własnego sądu o sprawach pryncypialnych, nurtujących całą ludzkość.

Dürrenmatt uprzytamnia grozę sytuacji, obala mity, zwłaszcza literackie, ale nie głosi pozytywnego programu naprawy tego, co w społeczeństwie ludzkim jest zwyrodniałe. Uważa, że światem rządzą przypadki, a przypadków nie można przewidzieć i opanować. Stąd fatalizm i swoisty pesymizm, charakterystyczny zresztą dla całej literatury zachodnioeuropejskiej. Człowiek pozbawiony zdrowych zmysłów może spowodować wybuch bomby atomowej. Wobec tego faktu nauka jest bezradna. Zatem największym absurdem drugiej połowy XX wieku jest produkcja środków masowej zagłady. Tak najogólniej należy rozumieć sens „Fizyków". Wszystkie inne problemy występujące w sztuce stanowią margines ważny o tyle, o ile ułatwia zrozumienie zbiorowej odpowiedzialności za losy świata.

W prywatnym sanatorium dla umysłowo chorych przebywają trzej fizycy. Wszyscy cierpią na schizofrenię. Herbert Georg Beutler podaje się za Newtona, Ernest Henryk Ernesti za Einsteina a Jan Wilhelm Möbius obcuje z królem Salomonem, który rzekomo dyktuje odkrycia naukowe. Pozornie są niegroźni dla otoczenia. Tylko pozornie. Z trudnych do ustalenia przyczyn Newton morduje swoją pielęgniarkę. W kilka miesięcy później Einstein idzie w jego ślady. Tego samego wieczoru Möbius zabija siostrę Monikę. Sprawa wyjaśnia się przy wspólnej kolacji, kiedy fizykom wydaje się, że są sami. Żaden z nich nie jest wariatem. Zabijali z premedytacją, w obawie przed zdemaskowaniem. Kilton (prawdziwe nazwisko Beutlera — Newtona) i Ekler (Ernesti-Einstein) pozostają na służbie dwóch różnych wywiadów. Powierzono im trudną misję: nakłonić Möbiusa do opuszczenia zacisznego sanatorium i podjęcia pracy naukowej, która zapewni jednemu z mocarstw przewagę militarną. Z całą bezwzględnością usuwają więc przeszkody utrudniające wykonanie zadania. Möbius udaje obłąkanego, ponieważ nie chce, by jego odkrycia posłużyły do unicestwienia świata. Rezygnuje z kariery akademickiej, opuszcza rodzinę, morduje ukochaną kobietę w przekonaniu, że wybiera mniejsze zło, że chroni w ten sposób ludzkość przed niechybną zagładą. Zdemaskowany przez współpacjentów przypiera ich do muru i nakłania do pozostania w sanatorium w imię odpowiedzialności naukowców za egzystencję świata. Przez chwilę wydaje się, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Fizycy przybierają ponownie maski błaznów. I wtedy następuje katastrofa. Doktor Matylda von Zahnd wyjawia swoją tajemnicę. To jej ukazuje się król Salomon. Za jego sprawą skopiowała dzieła Möbiusa i zorganizowała potężny trust zbrojeniowy. Przerażeni fizycy stwierdzają, że losy świata spoczywają w rękach obłąkanej lekarki. Ofiara genialnego fizyka zostaje przekreślona.

Końcowe wnioski sztuki są dość oczywiste. Nauki nie można zatrzymać w miejscu. Wcześniej czy później człowiek opanuje tajemnice przyrody. Walka o pokojowe wykorzystanie zdobyczy rozumu ludzkiego nie może być prowadzona tlko przez wybitne jednostki, lecz przez całą ludzkość, bo tylko poczucie zbiorowej odpowiedzialności uchroni świat od klęski powszechnej.

W ten właśnie sposób odczytał „Fizyków" Dürrenmatta reżyser rzeszowskiego przedstawienia — Stefan Winter. Wychodząc z koncepcji, że rozgrywający się na scenie dramat ludzi uwikłanych w wielką aferę nie jest ilustracją z góry postawionych tez filozoficznych, moralnych i politycznych zatroszczył się o psychologiczne pogłębienie sylwetek bohaterów. Dzięki temu spektakl jest zarazem drapieżny i wzruszający. Można jedynie dyskutować czy nie należało zrezygnować z niektórych partii tekstu, które zamiast uwypuklać zacierały obraz całości. Np. w wielkiej scenie, kiedy trzej fizycy dochodzą do porozumienia i spełniają toast na cześć zamordowanych przez siebie pielęgniarek, powtarzanie formułki przyrzeczenia razi i rozrywa konstrukcję głównego wątku, a scena następująca po wstrząsającym wyznaniu lekarki osłabia kulminacyjny moment spektaklu. Nie wymaga bowiem dodatkowego komentarza sąd sformułowany przez Möbiusa: „Co raz zostało pomyślane, nie może być już cofnięte".

Zespół aktorski miał trudne zadanie. Umiejętność prowadzenia podwójnej gry: przed partnerami i przed publicznością, wymaga skupienia i logiki. Każdy błąd może spowodować ostry zgrzyt, a nawet rozsypanie się przedstawienia. Gra zespołowa przy równoczesnym zachowaniu indywidualnego stylu wymaga długich i uciążliwych prób. Bez tego nie ma powodzenia. Rzeszowskie przedstawienie jest udane. Aktywów nie dyskontują pasywa. Celina Klimczak w roli doktor Matyldy von Zahnd stworzyła kreację o rzadkiej sile. Jej obecność na scenie fascynuje. Przekonywający jest nasycony pełnią prostoty psychologiczny portret garbatej lekarki, samotnej spadkobierczyni potężnego niegdyś rodu Zahnd, zmęczonej, pozornie prostolinijnej i groźnej w swym obłędzie. Rzadka swoboda w ruchu i geście przy wewnętrznej dyscyplinie, pozwoliła jej mistrzowsko kierować akcją.

Celinie Klimczak sekundował Stefan Winter w roli Möbiusa. Dzięki oszczędności środków wyrazu podkreślał w postaci cechy osamotnienia, wynikającego z trudnej do udźwignięcia odpowiedzialności za losy świata. Nie jest to już naukowiec, lecz zwykły nieszczęśliwy człowiek, który musi czuwać. Często zmienia taktykę. Stosuje manewry, które mają wyprowadzić w pole „przeciwnika" (pożegnanie z żoną i synami, rozmowa z Moniką), ani na chwilę nie zapomina dlaczego skazał się na pobyt w sanatorium dla umysłowo chorych. Winter inteligentnie interpretuje przejścia między udaniem a prawdą.

Role pozostałych pacjentów — Newtona i Einsteina odtwarzali w kostiumach historycznych Zbigniew Zaremba i Zdzisław Nowicki. Kostiumy narzucają im sposób bycia. O czym nie zawsze pamiętał Zbigniew Zaremba. Ponadto aktor ten ma na swoim sumieniu kilka grzechów przeciwko mowie scenicznej. Tekst podawał niestarannie, gubił głoski i nie stawiał cezur między zdaniami. Natomiast Zdzisław Nowicki nie wychodził poza kostium. Pewnym dysonansem było np. niezdecydowanie i nieco spóźniony refleks jak na potrzeby agenta służby wywiadowczej.

Rozminął się ze swoją rolą Zdzisław Sikora (inspektor policji, Ryszard Voss). W pierwszej scenie dał pokaz tanich efektów stosowanych w lichych filmach kryminalnych. Usadzanie na głowie kapelusza, poprawianie go jednym palcem, nienaturalne okazywanie lęku przed niebezpiecznym Newtonem zakrawało na parodię. Ryszard Voss w sztuce Dürrenmatta „jest człowiekiem miłym, grzecznym, ludzkim, którego doprowadziło się do wściekłości, do pasji(...). Oczywiście jest on jakoś zaszokowany, żenuje się, krępuje, sytuacja jest niesmaczna, to nie jest normalny wypadek morderstwa. To dzieje się w domu dla umysłowo chorych". Tych cech Zdzisław Sikora nie potrafił wydobyć. W konsekwencji inspektor policji w rzeszowskim przedstawieniu „Fizyków" był papierowy, nieprawdziwy.

W innych rolach zwracają uwagę Janina Węglanówna jako była żona Möbiusa i Aleksandra Bonarska jako siostra Monika. Obydwie aktorki otrzymały krótkie, prawie epizodyczne role, niezwykle jednak ważne w dramatycznym spiętrzeniu sztuki. Janina Węglanówna poprawnie oddała stan zakłopotania wynikły z dwuznaczności sytuacji. Tekst pełen niedomówień wypełniła psychologicznym podtekstem. Nerwowymi ruchami dopowiadała słowa, które wstyd jej było wygłosić otwarcie. Aleksandra Bonarska zagrała miłość do Möbiusa zmysłowo. W wyznaniach jej była żarliwość i namiętność kobiety, która kieruje się tylko głosem serca.

Friedrich Dürrenmatt — Fizycy. Komedia w dwóch aktach. Przekład: Irena Krzywicka, Jan Garewicz. Reżyseria: Stefan Winter. Scenografia: Irena Perkowska. Udział wzięli: Celina Klimczak, Zofia Gorczyńska, Aleksandra Bonarska, Edward Apa, Marian Maksymowicz, Zbigniew Zaremba, Zdzisław Nowicki, Stefan Winter, Andrzej Girtler, Janina Węglanówna, Zdzisław Sikora, Wincenty Zawirski, Ryszard Fischbach i Józef Jachowicz.

Kalman Segal

Brzydkie rogi

Jeżeli pochodzicie ze wsi, to powinniście wiedzieć, że sprzedać krowę, którą się wyhodowało i do której się przywykło, to niemal tak, jak wypędzić z chałupy jednego z domowników. Przykra to rzecz, taka sprzedaż, i często połączona ze zmartwieniem.

Krowa, którą chciałbym wprowadzić do tego opowiadania, była dobra, doiła się nieźle, miała zdrowy apetyt i nie była wybredna, nie bodła, nie kopała, nie była jeszcze stara, nie chorowała. Po cóż więc sprzedawać taką krowę? Właśnie. To samo pytanie zadawaliśmy ojcu, którego decyzja była jednak niestety, twarda i ostateczna.

— Dałbyś sobie spokój — prosiła matka. — Któż to widział sprzedawać takie dobre bydlę? Aż mi się serce kraje, kiedy sobie pomyślę.

— Nie brałem z nią ślubu — bronił się ojciec. — Ale nie martw się, hyclowi jej nie oddam. Sprzedam w gospodarskie ręce. Będzie miała dobrze.

Oczywiście, wiedzieliśmy dlaczego chciał ją sprzedać, dlaczego musiał ją sprzedać, lub zamienić na inną. W każdym razie dzisiaj sprawa jest dla mnie zupełnie jasna i chociaż zarówno wtedy, jak i teraz, po trzydziestu latach, trudno by mi było przyznać mu rację, to jednak potrafię zrozumieć motywy jego stanowczego i bezwzględnego postępowania. Pora powiedzieć: ojciec mój był estetą, kochał to, co ładne. A krowa — nie będę przed wami niczego ukrywał: ta krowa nie była pięknością. Miała brzydkie rogi, a wiadomo, że rogi u krowy, to jak korona u królowej. Jeden róg, ten prawy, sterczał do góry, drugi skręcał się w dół, jeden był dłuższy, drugi krótszy. Sąsiedzi pokpiwali sobie z ojca, tak jakby on był ojcem tego nieszczęsnego bydlęcia, tak jakby on był odpowiedzialny za urodę krowy i za jej rogi.

Targi w Miasteczku odbywały się w każdą środę i oto pewnego dnia, dokładniej mówiąc, pewnego wtorkowego wieczoru ojciec zapowiedział, że jutro o świcie wybierzemy się w drogę z naszą krzyworogą krową, którą zdążył już przygotować do podróży. Zgrzebłem pięknie ją wyszczotkował, i nakarmił podwójną porcją sieczki parzonej, omaszczonej grysem, kartoflami i solą. Z wieczornego udoju zrezygnowano, chodziło bowiem o to, by nazajutrz miała wymię duże i pełne mleka — atuty dla oczarowania nabywcy.

Minęła krótka letnia noc i w oknie zamajaczył wczesny rześki świt. Śniadanie zjedliśmy chybcikiem. Matka wyciągnęła z szafy moje nowe sztruksowe ubranko, sama także ubrała się jak należało. Buty zdążył wszystkim wyglansować ojciec, który wstał pierwszy, a teraz jeszcze krzątał się w stajence, przypatrując się zwierzęciu przeznaczonemu na sprzedaż, tak jak ludzie zwykle przypatrują się pannie młodej przed spotkaniem ze swatami.

Gdy dotarliśmy do otoczonej parkanem targowicy, było już tam pełno ludzi i zwierząt. Zdawało się, że na tym grząskim placu, gdzie błoto i gnój sięgały nam powyżej kostek, zebrały się wszystkie krowy z całego świata i wszystkie konie, świnie, buhaje, kozy i owce — a jeśli nie z całego świata, to w każdym razie z całego powiatu. Miasteczko było pełne rżenia i ryczenia, wieprze darły się wniebogłosy, kozy meczały, wtórowały im owce. Jak w Arce Noego. W wiele lat później miałem możność znaleźć się w najludniejszych dzielnicach Wiednia, Paryża i Londynu — nic nie zrobiło na mnie tak oszałamiającego wrażenia, jak owo zbiorowisko zwierząt i ludzi na Wielkim Placu Targowym w zaczarowanym Małym Miasteczku, gdzie mój ojciec sprzedał przed laty krowę o brzydkich rogach.

Kogo tu nie było? Chłopy z gór, bose Łemki w parcianych portkach i w koszulach wypuszczonych na wierzch; baby, z których każda miała na sobie czternaście różnobarwnych spódnic, Cyganie, o których nawet dzieci już wiedziały, że handlują końmi kradzionymi na Węgrzech, rzeźnicy Żydzi o czarnych lub rudych brodach, i rzeźnicy katoliccy, z których najgrubszym był Jasio Słuszkiewicz, z brzuchem jak beczka piwa i w wiedeńskim meloniku na głowie. Byli tu także eleganccy agenci ze Śląska, z Królewskiej Huty i z Bytomia, a czasem nawet z Gliwic i Berlina. Pośrednicy skakali koło nich jak pieski, mizdrzyli się i kupowali dla nich tłuste byczki, buhaje ciężkie jak słonie, lub olbrzymie wieprze.

W tłumie widziało się nawet kilku księży, proboszczów wiejskich, którzy w otoczeniu znawców i parafian nabywali żywy inwentarz dla swego gospodarstwa przy plebanii.

Ludzie szaleli. Wrzeszczeli, śmiali się, zaklinali, przysięgali, walili się pięściami w piersi, wyrywali sobie włosy z głowy, klęli, przerywali pertraktacje jakąś pieprzną anegdotą, obmacywali krowie ogony i podbrzusza, koniom zaglądali w zęby i w ślepia, przeganiali zwierzęta z miejsca na miejsce, by stwierdzić, czy nie kuleją.

Rzeźnicy i przedstawiciele bogatych firm ze Śląska wyciągali pękające portfele pełne banknotów. Chłopi zawijali swoje biedne pieniądze w chustkę i wtykali je głęboko pod koszulę. Sprzedający i kupujący, o ile należeli do tej samej grupy społecznej, szli do knajpy Elowej na litkup. Dzieciakom szczodrze zatykano gębę białą bułeczką, a babie kupowano ze świeżych pieniędzy niciane pończochy, albo chustkę na głowę. I wszyscy byli szczęśliwi.

A tymczasem mój ojciec miał pełne ręce roboty. Koło naszej krowy zatrzymywało się mnóstwo ludzi zafascynowanych olbrzymim, od wczoraj nie wydojonym wymieniem. Każdego zainteresowanego ojciec zagadywał, wymieniał cenę, wyliczał zalety, poważniejszych reflektantów chwytał za dłonie i nie wypuszczał ich tak długo, aż zjawiał się następny kupiec. Te zabiegi trwały dość długo, ale ostateczny ich wynik był imponujący. Ojciec trzymał mocno rękę jakiegoś sympatycznego kmiotka, matka zajęła się jego żoną i w niespełna godzinę targ był ubity. No, nie stało się to tak łatwo, jak by to mogło wynikać z mego opowiadania. Kilka razy dochodziło do momentów krytycznych, zdawało się, że transakcja nigdy do skutku nie dojdzie. Kilka razy mój ojciec obraził się zbyt niską, wprost nikczemną propozycją nabywcy. Odwrócił się i przysiągł, że prędzej przywiąże krowie kamień do szyi i utopi ją w Sanie, niźli miałby ją oddać za takie psie pieniądze. Tu wszyscy wybuchnęli śmiechem, bo San przepływający między naszą wsią a Miasteczkiem, był taki płytki, że nawet kota nie można w nim było utopić.

Kilka razy kupujący chłop brał żonę za rękę i odchodził — straszył nas, łobuz, ale mój ojciec nie dał się nabrać, wiedział, że tamten wróci. I wrócił. Ojciec żądał dwieście. Tamten był skłonny zapłacić sto osiemdziesiąt. Różnicę przepołowiono i interes był ubity. A potem wynikł jeszcze spór o postronek. Chłop twierdził, że kupił z postronkiem, ojciec uparł się, że bez postronka, że postronek nie wchodzi w rachubę, bydlę sprzedaje się bez postronka. Wreszcie pogodzili się. Ojciec uściskał chłopa, baba ściskała moją matkę, wszyscy życzyli sobie dużo szczęścia i dużo zdrowia. Na wódkę do Elowej nie poszli, bo już było późno, no i za dużo w nich było radości — chcieli czym prędzej wrócić do domu. Ojciec był szczęśliwy: pozbył się wreszcie krowy z brzydkimi rogami. A ten chłop też był szczęśliwy: na oko widać było, że to krowa rasowa, mleczna. Jeden i drugi przekonani byli, że udało się im zdrowo oszukać partnera.

Przerzedzało się już na targowicy, kiedy skierowaliśmy się do wyjścia. Ale diabeł nie śpi, a czuwa nad biednymi ludźmi, diabeł czyha, i w chwili kiedy biednemu człowiekowi zdaje się, że już mu niczego nie brakuje do szczęścia, i że, jak to się mówi, złapał Pana Boga za nogi i trzyma, właśnie wtedy licho sprowadzi go z równej szerokiej drogi i pociągnie w bagno, w przepaść, z której nie sposób się wygramolić.

Tym razem diabeł miał postać młodego mężczyzny średniego wzrostu, o ospowatej twarzy i o złodziejskich wesołych oczkach. Spodnie nosił w pumpy, które były w tamtych latach bardzo modne, marynarka zaś miał drobną krateczkę.

— Za pięć wygrywa się dziesięć! — wykrzykiwał zachrypniętym tenorem. — Za dziesięć dwadzieścia! Du-beltowo! Du-beltowo! Laleczka wygrywa! Kto gra ten wygra!

Tak wrzeszcząc bez przerwy, jakby chciał przekrzyczeć cały świat, bawił się jednocześnie trzema kartami. Na jednej karcie istotnie wymalowana była laleczka, pozostałe dwie były bez obrazka.

Człowiek w pumpach nie oszczędzał się, pracował gardłem i rękami. Trzy karty ożywały w jego zwinnych palcach, zmieniały ustawicznie pozycje. Po każdej zmianie piękna laleczka leżała w innym miejscu; niekiedy była w środku, niekiedy z kraju, wszyscyśmy to widzieli, krzykacz dbał już o to, żeby każdy wiedział, gdzie jest laleczka — zdawało się, że ten cały harmider z trzema kartami jest wyłącznie po to, żeby ludziska mogli trafnie odgadnąć i wygrać.

Podszedł jakiś miejski obywatel w słomkowym kapeluszu na głowie i z parasolem w ręku; położył dziesięć złotych i wygrał dwadzieścia. Po nim jakaś kobieta postawiła i też wygrała. Kilku chłopów stało z boku, pełni byli podziwu i chciwości — niezdecydowani, jeszcze nie zdążyli nabrać zaufania.

Popatrzyłem na ojca: był wyraźnie zdenerwowany, wrzask karciarza podniecił jego wyobraźnię; szarpał nerwowo brodę i rzucał niespokojne spojrzenia to na mamę, to na sztukmistrza w pumpach.

— No? Co zrobimy? — zapytał, łącząc na wyrozumiałość matki i czekając na jej przyzwolenie.

— Jeżeli już tak bardzo chcesz, to spróbuj — powiedziała mama, uśmiechając się dobrotliwie. — Ale pamiętaj, tylko jeden raz.

Ojciec wyłuskał z chustki dziesiątkę i postawił. Wygrał. Postawił dwadzieścia i znów wygrał. Matka ciągnęła go za rękaw.

— Wystarczy! Człowiek nie powinien być zanadto chciwy. Chodźmy. Inni też chcą wygrać.

— Co? — oburzył się ojciec. — Głupia kobieto! Teraz mam odejść. Widzisz przecie, jak mi idzie.

Postawił i — przegrał. Zapeszył się, ale też wnet się uspokoił. Że jeden raz przegrał? Zaraz się odegra. Znów postawił i wytężył wzrok, by nie uronić ani jednego ruchu magika. Laleczka leżała teraz w samym środku, śliczna szelmutka, wszyscy widzieli, że leży w środku, teraz już nie mogło być pudła. Ojciec drżącą ręką dotknął karty, krzykacz odszulera, przychwycili go i trzymali mocno, a on wyrywał się i wierzgał nogami — dopiero teraz zobaczyliśmy, że był chudy i nędzny jak nędzny szczur, i nawet koszulę na sobie miał brudną.

— Trymaj jeho, strastia jeho mat' mordowała!

— Halt dem ganew! — wrzeszczał ktoś po żydowsku.

— Policja! Gdzie policja?

Solidarnie stanęli w obronie mojego ojca: Łemki i Polacy, i Żydzi u wszystkich oburzyło się poczucie sprawiedliwości i nawet nikt nie powiedział, i na pewno nawet nie pomyślał, że to zwykła chciwość mego ojca doprowadziła go do przegranej. A on, mój biedny tato? Stał bezradnie i milcząco obok matki, skruszony i nieszczęśliwy — może zastanawiał się, gdzie w tej chwili jest nasza krowa, ta piękna wspaniała krowa, która miała jeden róg tylko troszeczkę dłuższy, a drugi tylko troszeczkę krótszy; takie dobre bydlę, trzeba to było sprzedawać?

* * *

Szamotali się z właścicielem laleczki i już, już mieli mu dobrać się do kieszeni, by zwrócić ojcu przegraną, gdy dostojnym krokiem nadszedł wysoki policjant z karabinem na ramieniu, ten karabin czynił go w moich oczach jeszcze wyższym. Zagapiłem się przez chwilę, olśniły mnie jego gładkie czarne cholewy, które były błyszczące jak zwierciadło, wystarczyło mi tylko trochę się schylić, żebym mógł policzyć sobie jak w lustrze wszystkie pryszcze na twarzy.

Mama rozpłakała się i opowiedziała policjantowi całą naszą tragedię, ludzie potakiwali, a oszust z laleczką uśmiechał się obleśnie, choć jeszcze przed chwilą bliżej mu było do płaczu, niż do śmiechu.

— Więc myślicie, że ta cała gra, to zwykłe oszukaństwo? — zapytał policjant, a wszyscy stojący dokoła przyznali z zapałem, że oszusta należy zaprowadzić do więzienia, a pieniądze zwrócić poszkodowanym. Słysząc te słowa moja matka wpatrzona z ufnością i nadzieją w gładką twarz zbrojnego przedstawiciela władzy i sprawiedliwości, uśmiechnęła się do niego przez łzy, i nawet na chwilę przestała płakać.

— Być może — zgodził się życzliwie policjant. — Być może zaszło tu oszustwo, zaraz przekonam się. Gdzie ta laleczka.

Łobuz w pumpach wyciągnął swoje trzy karty i roztasował, przez chwilę przekładał laleczkę z prawa na lewo, i z lewa na środek. Policjant wyciągnął z portmonetki dwudziestozłotówkę, rzucił ją na krzesło i wskazującym palcem dotknął środkowej karty.

Rys. J. SIENKIEWICZ

— Zupełnie uczciwa gra — powiedział inkasując wygraną. — Ale trzeba umieć grać. A teraz rozejść się do jasnej cholery, bo wszystkich zaprowadzę do ciupy!

Opuściwszy targowicę poszliśmy na mały placyk porośnięty chwastami. Ojciec oglądnął się, czy nie ma kogo obcego w pobliżu i powiedział:

— Widzisz, synu? Niech szlag trafi taką władzę, która trzyma tylko z bogatym!

— Ten oszust wcale nie wygląda na bogatego — powiedziała mama. — Zwykła miejska lachudra!

— Masz rację — przyznał ojciec, a widząc, że matka znowu chowa nos do chustki, powiedział pocieszająco:

— No, już nie płacz, nie. Niech nam się zdaje, że zdechła nasza krowa. Mało to krów zdycha co roku. Zresztą, przecież masz jeszcze jedną całą stówkę. Idź, kup nam coś do jedzenia.

Teraz dotarliśmy, a raczej za chwilę mieliśmy dotrzeć do samego dna tragizmu.

Mama poszła coś kupić do jedzenia i dość długo nie wracała. Zaniepokojeni nieobecnością, poszliśmy za nią. Znaleźliśmy ją łatwo. Już z daleka słychać było jej rozpaczliwy krzyk, prosiła o ratunek, błagała, ktoś starał się ją przekrzyczeć, ktoś wołał o wodę, o lekarza, ktoś kazał ją wynieść na dwór, ponieważ mdlejący człowiek powinien mieć dużo świeżego powietrza, a w sklepiku nie było już żadnego powietrza, ani świeżego, ani nieświeżego. W końcu wyniesiono ją i posadzono na krzesełku pod ścianą.

Dowiedzieliśmy się, co zaszło. Mama kupiła w sklepiku chleb i masło, i śledzia, i cukierki, a gdy chciała zapłacić i sięgnęła za pazuchę, okazało się, że pieniędzy już nie ma. Może zgubiła, ale ona nigdy niczego nie gubiła, więc jak mogła tym razem zgubić całą setkę? Widocznie okradli ją wtedy, gdy ścisk na targowicy był największy, wtedy gdy patrzyliśmy na policjanta w błyszczących butach, który wypróbowywał uczciwość człowieka w pumpach i postawił dwadzieścia, żeby wygrać czterdzieści.

Tak więc byliśmy już ograbieni na czysto, do suchej nitki.

— Ludzie — powiedział ojciec cichym drżącym głosem. — Przyszedłem tu jako bogacz, a oto jestem nędzarzem. To ja jestem Hiobem, czy nikt się nie zlituje nade mną? Czy nikt mi nie da kawałka sznura, bym się mógł powiesić na tym oto drzewie?

Nikt nie ulitował się, na szczęście nikt nie dał ojcu kawałka sznura, ale znalazła się jakaś litościwa dusza, która szepnęła nam w wielkiej tajemnicy, żebyśmy poszli do knajpy Elowej na Jamie, tam schodzą się wszyscy złodzieje z całego powiatu i tam trzeba poprosić Joska Pasera, to jest Żyd o miękkim sercu, tyle że paser i złodziej, więc jeśli się go znajdzie w dobrym humorze, to nie jest wykluczone, że on coś doradzi.

Poszliśmy więc do knajpy... Elowa wysłuchała ze współczuciem płaczliwej relacji mojej mamy, kazała nam usiąść i własnoręcznie przyniosła dla nas dużego śledzia w oliwie, pół bochenka świeżego chleba i trzy szklanki ciemnego pieniącego się piwa.

— Zjedzcie — powiedziała. — Zjedzcie i wypijcie, żebyście mieli siły to wszystko wytrzymać.

Zabraliśmy się do jedzenia, a Elowa poszła poszukać Joska Pasera. Nie musiała go szukać daleko, bo ta znakomita osobistość, od której zależało teraz nasze życie, ten nasz dobrodziej i zastępca Pana Boga, siedział zapewne przy jednym ze stolików i tak jak wszyscy pił piwo i żarł gotowany groch ze solą i z pieprzem. Jeszcze nie zdążyliśmy wyłuskać ości ze śledzia, a już zacna Elowa ciągnęła tego zbója w naszą stronę. Paser podał ojcu dwa palce na przywitanie, a mama znowu się rozpłakała i zaczęła opowiadać od samego początku, od krzywych rogów i od tego, że bydlę było dobre i dobrze się doiło, serce kraje się z bólu, kiedy człowiek sobie pomyśli, jakie to było bydlę.

Paser słuchał i śmiał się, ale rychło mu się to znudziło i zapytał ile mamie ukradli.

— Nie mam nic wspólnego z kradzieżą waszych pieniędzy — powiedział. — Ale mi was żal, bo strasznie głupi z was ludzie. Macie tu waszą setkę i uciekajcie stąd, a prędko, bo jeszcze z was kto portki ściągnie.

I wetknął ojcu do ręki nową stówkę, piękną jakby dopiero wyszła z fabryki.

Matka chciała herszta pocałować w rękę, ale on cofnął łapę, widać skromny był człowiek, nie żądał wdzięczności. Ojciec zaś medytował chwilę i strzelił:

— A te pieniądze za laleczkę?

Paser roześmiał się.

— Ten facet z laleczką nie należy do naszego towarzystwa. Nasza specjalność to praca kieszonkowa. Ja za laleczkę nie odpowiadam. No, wszystkiego dobrego.

Pożegnał się z nami, każdemu podał rękę, a ojciec i matka życzyli mu powodzenia w interesach.

Na błoniach koło Sanu zdjęliśmy buty i napiliśmy się wody ze źródełka.

— Szkoda, że nie ukradli nam wszystkich pieniędzy — powiedziała mama. — Dostalibyśmy wszystko z powrotem i nie bylibyśmy stratni.

— Nie mogę zrozumieć, jak to się stało, że przegrałem. Tak mi dobrze szło.

— Oj, ty, ty — skarciła go matka. — Stary siwy Żyd, a taki głupi.

Stary, siwy? Popatrzyłem na ojca i po raz pierwszy — pełen zdumienia i niepokoju — zauważyłem, że jego dobrotliwa twarz pokryta jest siecią głębokich zmarszczek, a plecy lekko zgięte w kabłąk. Ująłem jego olbrzymią szorstką dłoń i ustawiałem ją mocno uścisnąć. Zrozumiałem bowiem, że to był dla niego ciężki dzień i chciałem mu dodać otuchy.

Jubileuszowy tusz na orkiestrę dętą

Obraz prowincjonalnego miasta kojarzy się zwykle z błyskami mosiężnych trąb w niedzielne popołudnie i krzykiem dzieci, rozentuzjazmowanych dzieciaków biegnących za dobrodusznym pomrukiwaniem helikonu. Orkiestra strażacka lub kolejowa, przedmiot dowcipów zblazowanych i snobistycznych melomanów, a równocześnie źródło najprostszych wzruszeń muzycznych dla większości obywateli powiatowych stolic. Któż z nas nie postanawiał w dzieciństwie, że będzie strażakiem lub kolejarzem pod wpływem uroku mosiężnych kasków i wytrząsanych z instrumentów dziarskich melodii. Niestety, coraz mniej na festynach i małomiasteczkowych uroczystościach orkiestr dętych — zastępują je megafony i muzyka z taśm lub płyt. Gdzie te czasy, w których instrument o błysku złota przechodził w spadku z ojca na syna, nobilitując zmęczonego robotnika torowego czy dróżnika na niedzielnego artystę, na przedmiot podziwu i admiracji. Niech sobie koneserzy drwią do syta z prowincjonalnych orkiestr — nic chyba tak trwale i silnie nie wiąże dyletantów i zamiłowanych amatorów z kulturą muzyczną i sztuką nieraz przez duże S, jak te zespoły. Te związki trwają często całe lata, stają się pasją życiową od młodości do wieku emerytalnego i odgrywają doniosłą rolę kulturalną w środowisku.

Mam przed sobą odbitkę fotograficzną następującego druku: „Towarzystwo Muzyczne Funkcjonariuszy Kolejowych Harmonia w Jaśle. Legitymacja. Członek: W. Pan Ludwinowski Adam". Data na fotokopii 18 listopada 1918 roku. Jest to jedna z pierwszych legitymacji członkowskich nieprzerwanie do dziś działającej orkiestry kolejowej w Jaśle. Jak wynika z daty zespół obchodził w tych dniach 45-lecie swego istnienia. Z tej okazji kolejarze melomani wydali jubileuszową broszurę i zorganizowali uroczysty obchód swojego święta. Z tej skromnej książeczki można dowiedzieć się wielu interesujących wiadomości o twórczej roli i działalności kulturalnej jasielskich kolejarzy. Orkiestra była bowiem zaczynem szerszego ruchu artystycznego. Wokół niej skupiła się duża grupa sympatyków i przyjaciół. Tworzy się zespół teatralny, orkiestra symfoniczna, biblioteka, obsługująca stacje kolejowe od Kamionki w pow. sądeckim, po Wiśniową i Jedlicze — powstaje także pod patronatem Towarzystwa Muzycznego Harmonia pierwsze kino publiczne w Jaśle, w którym miejscowa orkiestra symfoniczna ilustruje muzycznie filmy nieme.

Kolejarze - muzycy z utworami Haydna, Beethovena, Mozarta, Czajkowskiego, Chopina, Karłowicza i in. występowali nie tylko w Jaśle. Wyjeżdżali często na występy do Krakowa, Tarnowa, Stróż, Sanoka, Sambora, Krosna i Wieliczki, zyskując popularność i uznanie. Jest w tej broszurze jedno prawie symboliczne zdjęcie: na tle całkowicie zrujnowanych domów orkiestra kolejowa przygrywa w pochodzie 1-majowym 1946 roku. Po przerwie okupacyjnej wraz z całkowicie zrujnowanym miastem i urządzeniami kolejowymi odrodziła się i kolejowa orkiestra. Instrumenty zakupiono z dobrowolnych prywatnych składek kolejarzy. Odtąd połysk instrumentów i ich muzyka towarzyszyła wszystkim osiągnięciom wstającego ze zgliszcz miasta — otwieraniu odbudowanych fabryk i osiedli mieszkaniowych.

Wybrałem tylko niektóre informacje z wydawnictwa. Jest ich tam znacznie więcej i tworzą one naprawdę chlubną historię zespołu muzykujących kolejarzy. O powojennej działalności kulturalnej środowiska kolejarskiego w Jaśle pisaliśmy już kiedy indziej w związku z nagrodą Ministerstwa Kultury i Sztuki dla ich zespołu, w związku z tamtejszymi Dniami Teatralnymi i nagrodą wojewódzką dla Antoniego Grochowskiego.

Za ten wzór dobrej roboty kulturalnej, za umiłowanie muzyki, za wierność ojcowskim tradycjom przesyłamy orkiestrze PKP w Jaśle grzmiący tusz i życzenia dalszych 50 lat działalności. A humoryści może wreszcie zejdą z prowincjonalnych orkiestr dętych i przesiądą się na żmudnego konia.

JOTGIEL

MARIAN ZIEMSKI — artysta plastyk
Rys. J. SIENKIEWICZ

„Pasażerka" — po rosyjsku

W sierpniowym numerze czasopisma „Inostrannaja Litieratura", organie Związku Pisarzy ZSRR, ukazała się powieść Zofii Posmysz-„Pasażerka".

W obszernym wstępie redakcja poświęca wiele miejsca zarówno osobie autorki, jak i jej utworowi, podkreślając że Zofia Posmysz przebywała w Oświęcimiu i sama przeżywała to, co opisuje. Wspomina się również, że „Pasażerka" była tematem słuchowisk radiowych i przedstawień telewizyjnych, a znany reżyser Andrzej Munk rozpoczął nakręcanie filmu, którego nie ukończył z powodu tragicznej śmierci w 1961 r.

Piękna uroczystość w Łużnej

Niecodzienna uroczystość odbyła się w niedzielę 22 bm. w Łużnej, pow. Gorlice. Swoje pięćdziesięciolecie bowiem obchodził tamtejszy amatorski teatr i zespół regionalny, a cała ta impreza zbiegła się z otwarciem Wiejskiego Domu Kultury. Obiekt ten posiadający salę widowiskową na 300 miejsc, obszerną scenę, pomieszczenie na klubo-kawiarnię, bibliotekę itp. w osiemdziesięciu procentach wybudowany został w czynie społecznym. Łatwo więc obliczyć kolosalny trud miejscowego społeczeństwa, zważywszy, że wartość obiektu równa się dziewięciu milionom złotych. Artystyczne tradycje wsi Łużna są przebogate i obfitują w wiele osiągnięć godnych pozazdroszczenia. Choćby wspomnieć o sukcesach na wielu eliminacjach wojewódzkich i centralnych, o występie przed kamerami polskiej telewizji, wreszcie o przyznanej temu zespołowi w lipcu br. nagrodzie Wojewódzkiej Rady Narodowej za osiągnięcia w krzewieniu regionalnej kultury.

Jednak nowy dom kultury świadczy nie tylko o ofiarności mieszkańców gorlickiej wsi. Jest chyba najlepszym potwierdzeniem tego, że wieloletnie tradycje kulturalne bynajmniej nie wygasają w tej wiosce, lecz nadal kwitną.

Piękny, nowoczesny obiekt stwarza warunki do dalszej działalności, do dalszego bujnego rozkwitu artystycznych upodobań mieszkańców Łużnej.

Słowa uznania należą się więc komitetowi budowy domu kultury i tym wszystkim, którzy mają swój najskromniejszy nawet wkład w dzieło budowy tego obiektu. Słowa uznania dla jubilatów i wszystkich mieszkańców Łużnej wyrazili zresztą przybyli na uroczystość przedstawiciele partyjnych i państwowych władz centralnych, wojewódzkich i powiatowych.

(J. w.)

Zdarzenia tygodnia

Na scenie Wojewódzkiego Domu Kultury w Rzeszowie wystąpił amatorski zespół taneczny pracowników komunikacji miejskiej ze Lwowa. Na program złożyły się piosenki, tańce oraz utwory muzyczne. Goście wystąpili także w Krośnie i w Sielnie.

* * *

W ramach rewanżu tercet wokalny i duet akordeonistów WDK oraz członkowie zespołu tanecznego Rafinerii Nafty z Niegłowic — występowali w Pałacu Kultury im. J. Gagarina we Lwowie. Wzięli oni także udział w spotkaniu z aktywem kulturalnym Lwowa.

* * *

W lokalu oddziału Związku Polskich Artystów-Plastyków przy pl. Zwycięstwa w Rzeszowie otwarta została interesująca wystawa prac plastyków rzeszowskich. Ekspozycja obejmuje około 48 prac. Wystawa czynna będzie do połowy października br.

* * *

W Wojewódzkim Domu Kultury zakończyło się czterodniowe seminarium zorganizowane przez wojewódzką poradnię k. o. dla instruktorów teatralnych województwa rzeszowskiego.

* * *

Ciekawą formę popularyzacji osiągnięć teatrów amatorskich województwa rzeszowskiego jest prowadzona przez Związek Teatrów Amatorskich — Wojewódzka Scena Amatorska.

Po wakacyjnej przerwie Wojewódzka Scena Amatorska wznawia swoją działalność. W sobotę 28 bm. na scenie WDK w Rzeszowie wystąpi zespół teatralny PZGS z Jasła, który zaprezentuje utwór Izabeli Łęczyckiej pt. „Dramat Joli".

* * *

W województwie rzeszowskim trwają intensywne przygotowania do obchodów związanych z XX-leciem Polski Ludowej. Przewidziana jest szeroka akcja odczytowa, otwarcie okolicznościowych wystaw i wydanie różnych publikacji. Przystąpiono już do opracowania szczegółowego programu imprez. M. in. w okresie „Dni wyzwolenia" zorganizowane zostaną przeglądy zespołów artystycznych, chórów i orkiestr oraz zwołana zostanie sesja naukowa poświęcona omówieniu dorobku wydawniczego traktującego o ruchu oporu w czasie okupacji i o kształtowaniu się władzy ludowej na Rzeszowszczyźnie.

Nowy numer „Kameny"

17. numer „Kameny", poświęcony w znacznej części Majdankowi, przynosi szereg interesujących pozycji. Między innymi piszą w nim: Roman Rosiak — „Majdanek głosuje za pokojem", Stanisław Markiewicz — „Paweł VI", Anna Kamieńska — „O potrzebie poezji", Dominik Horodyński — „Niemcy", Romuald Karaś — „Człowiek koncepcji i czynu", Zofia Murawska — „Udręki kobiet", Józef Marszałek — „Struktura organizacyjna obozu na Majdanku", Tadeusz Sokół — „Raport z toni". Tematykę rzeszowską reprezentuje duży, analityczny i wnikliwy artykuł Adolfa Jakubowicza omawiający blaski i cienie organizacji ruchu turystycznego w naszym województwie, ze szczególnym uwzględnieniem Bieszczadów.

Poza tym w numerze recenzje książek i wystaw plastycznych.

Bez serca

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Władysław B. otrzymuje od synów listy: Jeden za drugim. Proszą i grożą. Grożą karą boską, piekłem i czort wie czym jeszcze. Jeden z synalków, Julian B. z Bytomia pisze m. in.:

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Tato! W pierwszych słowach... dowiaduję się o waszym zdrowiu i powodzeniu, jak również jak sobie radzicie, bo ja dzięki Bogu jestem zdrowy oraz moja rodzina, czego wam z całego serca życzymy... Przykro mi, że muszę was nazwać bandytą. Odpowiedzcie sobie na takie pytanie: co daliście dzieciom? Palą po grzbiecie... Mówię wam po dobroci, że ja wam tego nie daruję i już najwyższy czas żeby z tym skończyć. O ile wy się nie skończycie, to ja z wami skończę, chyba że mnie któryś z braci uprzedzi... Gdy tak dalej będziecie robić, to ja przyślę pieniądze Anielce, żeby wam wyprawiła pogrzeb. Gdy tak lubicie ziemię, to będziecie ją mieć ze wszystkich stron... Radzę wam wziąć różaniec do ręki, uklęknąć przed obrazem Matki Boskiej, przeżegnać się, złożyć ręce do modlitwy i prosić Pana Boga o przebaczenie grzechów popełnionych dotychczas, a jako pokutę za grzechy, to ja wam zadaję: 1. Weźmiecie druki, które wam Józek wysłał do podpisania i podbijecie w Prezydium GRN. 2. Przepiszecie moją należną część na mnie. 3. Przeprosicie się w rodzinie i będziecie się szanować. To com wam zapisał na pokutę, to jest tylko część ojcowskich obowiązków. O ile w terminie nie załatwicie wszystkiego, to możecie się mnie w szybkim tempie spodziewać...".

Nie wiem nad czym tu boleć. Nad zachłannością? A może nad cynizmem? Głupotą? Czy ma się do czynienia z człowiekiem chorym, psychopatą, czy też z opanowanym cynicznym zwyrodnialcem?

Julian B. nigdy swej groźby nie spełnił i do ojca nie przyjechał. Powędrował na państwowy wikt. Do więzienia. W trzy miesiące później stanął przed sądem oskarżony o morderstwo. W Bytomiu, za pomocą gumowych rękawic, przez które przebiegały miedziane przewody połączone z gniazdkiem elektrycznym, zamordował teściową, pozorując śmiertelny atak serca. Stawką był „majątek" — kilkanaście tysięcy złotych. Sprawa ta była głośna w prasie. Pisał o niej „Przekrój" i „Express Wieczorny", pisała katowicka „Trybuna Robotnicza".

Tymczasem przez ten czas atmosfera w domu Władysława B. stawała się coraz bardziej napięta. Kłótnie i bójki były teraz na porządku dziennym. Spoza ich opłotków często dochodziły do ludzi groźby morderstwa, ale nikt się tym zbytnio nie przejmował. Lecz były to słowa wypowiedziane całkiem serio. Dwoje młodych ludzi — córka i zięć zastanawiało się, w jaki sposób pozbyć się starego. Władysław B. na swoje nieszczęście uparł się i nie ustępował. Za to Franciszek S. zaczął teraz działać z całą bezwzględnością i brutalnością.

Pewnego razu zwierza się ze swoich kłopotów kolegom w pracy. Po którejś tam z kolei wypitej ćwiartce obiecują pomóc oraz zabawić się nieźle kosztem teścia. Zajeżdżają przed dom Władysława B. ochlapaną wywrotką, siłą pchają go do szoferki i wywożą w głąb lasu. Zatrzymują samochód, przedstawiając się jako funkcjonariusze MO i — zgodnie z planem — przystępują do „uświadamiania" starego, aby tem zlitował się nad „biednym zięciem", nie szczędząc mu przy tym drwin i razów. Władysław B. solennie przyrzeka, że o zajściu nie poinformuje nikogo, lecz na zapisanie majątku się nie zgadza. Przygodny podróżny płoszy napastników, którzy pozostawiają starego na drodze. Władysław B. wraca piesze do domu.

Franciszek S. knuje nowy spisek. Osobiście zgłasza w Komendzie Powiatowej MO, że teść posiada pistolet, granaty i amunicję. Wskazuje kryjówki, w których rzekomo mają znajdować się wspomniane przedmioty. Prosi o dyskrecję. Na dowód przedstawia 61 sztuk niemieckiej amunicji karabinowej, ułożonej starannie w głębokim szkolnym piórniku, którą miał podobno znaleźć w łóżku starego.

Zarządzona przez Prokuraturę rewizja dała tylko połowiczny rezultat. Pistoletu nigdzie nie było. Znaleziono w żłobie jeszcze kilkadziesiąt sztuk zardzewiałej amunicji, a w szopie, na węglu, granat obronny typu F-1. „On chce mnie zamordować... Ratujcie mnie przed zidiociałym teściem" — mówił prokuratorowi Franciszek S. Bezpośrednia konfrontacja z Władysławem B. nie wniosła do sprawy nic nowego. Stary o niczym nie wiedział. Wobec braku dowodów winy śledztwo zostało umorzone.

Dziś można być pewnym, że zarówno granat jak też i amunicję celowo podłożył Franciszek S., który przypadkowo wydobył je z ziemi w czasie kopania kopca na ziemniaki. Przypuszczał, że teść dostanie się do więzienia, skażą go co najmniej na kilka lat, więc na jakiś czas się od niego uwolni. Stało się jednak inaczej.

ZBRODNIA I REAKCJA OTOCZENIA

Atmosfera stała się teraz jeszcze bardziej napięta. Tragedią wisiała dosłownie w powietrzu.

W krytycznym dniu, z końcem czerwca, Franciszek S. wrócił z pracy dość późno. Około godz. 21 dowiedział się od sąsiadów, że teść przed południem sprzedał jedną z dwóch krów. Teraz nie zawahał się ani przez chwilę. Był już pewny, co ma robić. Wyskoczył z izby trzaskając drzwiami, podniósł z ziemi stalową oś od wozu i jak burza wpadł do obory zadając na oślep razy znajdującemu się tam Władysławowi B. Bił jeszcze wówczas kiedy zalany krwią teść miał na tyle siły, aby podnieść się z ziemi i skomleć o darowanie życia. Córka przez cały czas przyglądała się ohydnej zbrodni, okrzykami zagrzewając męża do zadawania ciosów.

Morderca ochłonął, kiedy stary już nie żył. Wspólnie z żoną okręcili ciało w koc i wywieźli poza wieś, porzucając w krzakach.

Po blisko dwóch tygodniach zwłoki Władysława B. znalazła jedna z mieszkanek wsi. Wobec niezbitych dowodów mordercy przyznali się do winy. Aresztowano ich. Dzieci oddano w opiekę rodzicom mordercy.

Na tym wypadałoby skończyć. Ciekawa jest jednak reakcja najbliższych sąsiadów Władysława B. Ciekawe jest w ogóle stanowisko wsi. Stanowisko milczące, wyczekujące. Chociaż od śmierci starego upłynęło ponad 10 dni nikt nie zapytał, co się z nim stało? Kiedy 11-letni Tadeusz Ch. przechodząc w krytycznym momencie obok zabudowań Władysława B. słysząc jego rozpaczliwe wołania o pomoc dał znać ojcu, spotkał się z dziwnie obojętną repliką: „Niech się nawet pozabijają. A ty nikomu słowa nie piśnij". W śledztwie wyjaśnił, że nie przyjaźnił się z Władysławem B., więc jego los zupełnie go nie obchodził.

Cóż za ignorancja! Cóż za obojętność! To jeszcze nic. Są bowiem we wsi i tacy, którzy na swój sposób próbują usprawiedliwiać morderców. Równocześnie próbowano mnie przekonywać, że podobnego typu konflikty na wsi będą istnieć dopóty, dopóki będziemy mieć do czynienia z prywatną własnością ziemi. Być może. Ale czy nie da się wyrugować ze wsi drągów, pałek, orczyków i innych narzędzi służących do załatwiania porachunków osobistych? Czy właśnie sedno sprawy: ludzka obojętność i kompletna ignorancja nie są zasadniczą pożywką dla bezkarności poczynań tego typu osób, co Franciszek S.? Czy wreszcie wielu zrozumie, że życie ludzkie jest czymś bezcennym? To życie, które niestety, w ich środowisku przelicza się na złotówki? Czy pojmą, że mordercy muszą ponieść zasłużoną karę, aby podnieść cenę życia ludzkiego i aby w przyszłości ich samych coś podobnego nie spotkało? I czy wreszcie wyciągną z tej ponurej historii jakieś wnioski dla siebie, jakiś morał na własny użytek?

EDWARD WISZ

Wydaje Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" — RSW „Prasa". Adres redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. Telefony: redaktor naczelny 4775, zastępca redaktora naczelnego 4618, zespół redakcyjny 3856, 3857 wewn. 138.